

Dorian Wilczyński

Cień Shalmary

Mardawia, rok 1360

Spowite słonecznym blaskiem liście samotnych dębów szumiały w tle symfonii małych zielonych pasikoników. Raz po raz mleczne kłęby chmur rzucały przyjemny, wiosenny cień na połacie gęsto rosnących mniszków lekarskich, po których płaśły opasłe bąki. Ze znajdującego się na skraju wzroku lasu zerwała się gromada jaskółek i pomknęła w stronę gór, które tak niedawno zostawili za sobą. Końskie kopyta wystukiwały regularną, hipnotyzującą melodię odciągając jego uwagę od myśli o długiej wędrówce oraz wciąż doskwierających ran, odniesionych w niedawnej bitwie.

– Przy leśnym jeziorze zrobimy krótki postój – powiedział sir Lathaniel von Ednar do swoich czterech podkomendnych, jednocześnie wygładzając zmarszczkę, która naznaczyła kropierz jego rumaka. – Chciałbym przenocować w najbliższej wiosce. Popytajcie wędrowców, kędy droga.

– Tak, panie – skłonił się jego przyboczny o imieniu Dylan.

Las przywitał ich świergotaniem hulających dookoła wróbelków oraz zapachem starej kory cedru, aromatem paproci i nutką dzikiej lawendy. Samotny lis z niepokojem przyglądał się ich przybyciu, a nieopodal, w gęstym listowiu, beztrzesko tarzały się dwie kędzierzawe, rude wiewiórki. Gdy minęli popękany od słońca, pożółkły głąz, który leżał przy zawinięciu traktu, ich oczom ukazał się zarośnięty staw, w większości okupowany przez stado dzikich cyraneczek, choć było tam też parę gągołów i podgorzałek.

Sir Lathaniel z trudem zsiadł z konia, krzywiąc się przy tym z bólu, który pulsował od potamanych żeber oraz dziesiątków sińców i otarć. Usadowił się na powalonym, omszałym dębie, a jego podkomendni zajęli się uzupełnieniem bukłaków i przygotowaniem drobnej strawy. Jego rumak, zostawiony sam sobie, zaczął na przemian skubać gęstą trawę, jak i małą paproć rosnącą tuż przy krzaku dzikich, czarnych porzeczek, które zbierał jeden z jego ludzi. Leśny zefir przeczesał krótkie hebanowe włosy rycerza i pozwolił mu nieco odetchnąć od trudów podróży. Wciąż czekała ich długa droga, musieli przebyć całe księstwo von Arlyn i połowę sąsiadującego z nim księstwa von Djalde, ale przynajmniej mieli już za sobą przeprawę przez góry.

– Mój panie – odezwał się najmłodszy z jego ludzi, jeszcze nawet nie dwudziestoletni. – Przyniosłem wodę do przemycia twarzy i rąk, zaraz podam nieco suszonej króliczyny oraz tych czarnych porzeczek, co je nazbieraliśmy. Życzysz sobie jeszcze czegoś, mój panie?

– Tyle wystarczy... chociaż może zamiast wody do picia sprawdź, czy zostało nieco tego cienkusa – gestem wskazał tobołki, które właśnie były odpinane od konia, aby dać mu nieco luzu na czas odpoczynku.

– Tak, mój panie – zbrojny skłonił się i odszedł, a Lathaniel nabrał do rąk chłodnej leśnej wody i przemył nią twarz. Krople przyniosły mu ratunek od zastygłego potu, który co rusz spowijał jego

czoło. Odniesione na bitwie rany regularnie mu doskwierały, a co jakiś czas ogarniała go też gorączka, zazwyczaj jednak na krótko.

Przeuwając suszoną króliczynę dostrzegł samotną postać, która wyłoniła się z leśnej gęstwiny po drugiej stronie stawu. Od dziecka miał słaby wzrok, więc zdołał jedynie stwierdzić, że jest to jakaś młoda niewiasta o złocistych kosmykach, która w ręku trzyma wiklinowy koszyk. Odłożył miskę z mięsiwem i porzeczkami, po czym wziął parę łyków wina.

– Dylan, idźże zapytaj tej dziewanny, kędy droga do najbliższej wioski. Pewnie to niedaleko, skoro tu przyszła, a nie uśmiecha mi się ominąć wygodnego łoża.

– Oczywiście, mój panie – odpowiedział jego podwładny i bez zwłoki ruszył wzdłuż skraju stawu.

Młódka spojrzała na nich przelotnie i zabrała się do zbierania bzu, który bujnie rósł w tamtej okolicy. Robiła to na tyle wprawnie i szybko, że nim Dylan do niej dotarł, już połowa koszyka była wypełniona kwicistą bielą. Lathaniel zmrużył oczy, przypatrując się ich rozmowie. Dziewczyna wskazała zbrojnemu pewien kierunek, po czym na odchodne podarowała mu kiść białego bzu. Rycerz posmakował miejscowych porzeczek i przeniósł wzrok na swojego rumaka o kasztanowej sierści i bladoszarej grzywie, który właśnie poił się u stawu. Podszedł do tafli wody i wyjął z tobozków nieco czerstwego pieczywa. Połamał je na drobne części i zaczął miotać nimi w stronę flotyli kaczego rodu. Gągoty rzuciły się na okruchy niczym sfora wilków na rannego jelenia. Za nimi już szarżowały cyraneczki, a biedne podgorzałki, kwacząc, zawzięcie próbowały odnaleźć swoją własną niszę. Lathaniel rzucał to tu to tam, z uśmiechem patrząc na igrzyska, które właśnie urządził. Wyczerpawszy pół bochenka, resztę odłożył do tobozków.

Wystarczy już tego kaczego festiwalu, pomyślał, spojrzawszy na czekającego na uboczu Dylana.

– Panie – odezwał się podwładny, robiąc kilka kroków naprzód. – Wiem, którędy do najbliższej wsi. Pannica też prosiła, aby przekazać kwiat jako jej dar dla rycerza – uniósł kiść białego bzu. – Co mam z tym zrobić, panie?

– Niech jej będzie – zaśmiał się, czemu towarzyszył lekki ból klatki piersiowej. – Przyzdób mego wierzchowca. W końcu jadę na swoje zaręczyny – westchnął zrezygnowany, myśląc o szlachciance, którą dla niego wybrano. Jej wysokie urodzenie, krew książęcego rodu von Djalde, było jedynym, co widział w niej jego ojciec. „Taka szansa to wielki zaszczyt”, zwykł mówić, nawet gdy była ona z bocznej gałęzi. – Tylko nie przesadzaj, Dylan, weź jedną czy dwie łodygi.

– Oczywiście, panie.

– I przekaz innym, że za dziesięć minut wyruszamy.

* * *

Wysuszone słomiane dachy były nakryciami dla urokliwych drewnianych chat. Dębowe deski domostw to tu, to tam były nadgryzione przez ząb czasu, jednak chyba właśnie dlatego tak dobrze komponowały się z wiejskim klimatem. Ubrani w luźne koszule mieszkańcy wychodzili, aby zobaczyć niezwykłego gościa, który zawitał w ich progi. Były tam przygarbione starowinki, spaleni słońcem chłopcy i wszelkiej maści roześmiana latorośl. Przed kamienną studnią, na o dziwo brukowanym placu, czekał na nich mężczyzna ubrany w nieco wyświechtany, ale wciąż elegancki kubrak. Miał on

tęgą posturę, gęstą blond brodę połączoną z wąsami i falowane włosy, a jego policzki były nieco pulchnawe.

– Witam w Przygórzu, szlachetny panie! Jestem Eryk, sołtys tej wsi – skłonił się w pas przed rycerzem, rzucając przelotne spojrzenie na dwie gałązki białego bzu wpięte w kropierz rumaka.

– Jestem sir Lathaniel von Ednar. Droga przede mną długa, więc postanowiłem zawitać do was, sołtysie, aby ulżyć sobie w trudach podróży – rzekł rycerz, podjeżdżając bliżej sołtysa. – Znajdzie się dla mnie i moich ludzi izba w twoim domostwie? – zapytał bardziej z uprzejmości niż z rzeczywistej potrzeby. Szlachcie się nie odmawiało.

– Oczywiście, wielmożny panie – zaręczył Eryk, rozkładając ręce. – Idealnie trafiłeś, mój panie! Żona moja piecze dziś jabłecznik, będzie on palce lizać! Proszę za mną, cny rycerzu, tędy proszę – sołtys był wyraźnie podekscytowany i z szerokim uśmiechem stanął po prawicy Lathaniela, by poprowadzić go pomiędzy wioskowymi domostwami.

Trafili przed dwupiętrową chatę, krytą gęstą strzechą, której okna były z prawdziwego szkła. Wokoło rozciągało się szerokie pole pełne dojrzewającego zboża, a nieopodal rosła sałata i buraki cukrowe. Po lewej znajdowała się mała stajnia, obok której pasły się osiołki, a w oddali, na niewielkim wzgórzu, można było dostrzec kamienną kaplicę, do której prowadziła kręta droga.

Ostrożnie zsiadł z konia i przekazał go swoim ludziom. Rozkazał im go wyszczotkować i nakarmić, a sam wszedł z sołtysem do jego domostwa. Wnętrze było przyjazne i całkiem przytulne. Izba, do której go wprowadzono, była szeroka i oświetlona promieniami wpadającymi przez krystalicznie czyste okna. Po środku stał solidny, dębowy stół, a przy nim parę krzesel na krzyż. Był tam też zdobiony kredens, pełen różnych durnostojek i glinianych wazonów z kwiatami.

– Panie, poznaj moją żonę, Milenę – wskazał na gospodynię, która właśnie weszła z drugiej strony. Była szczupła i jeszcze nie aż tak stara, na głowie nosiła wypłowiałą chustę dzierganą w różane wzory, a na szyi miała wisiorek z kryształem górskim.

– To dla mnie zaszczyt, panie – dygnęła po kobiecemu, a Lathaniel obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

– Mości rycerz jest strudzony wędrówką – wytłumaczył Eryk, podchodząc do swojej żony. – Zaprowadź go do najlepszej izby gościnnej, żeby mógł odpocząć po podróży, a potem przygotuj najlepszy posiłek, jakieś mięsiwo żeby było, no i koniecznie ten jabłecznik.

– Toż to ile roboty mam! – przeraziła się kobieta. – Już za gary się biorę. A latorośl nasza włóczy się gdzieś, jak akurat jest potrzebna!

– To ja zaprowadzę szlachetnego pana, a ty już biegnij do kuchni, bo skrzaty jeszcze okradną spiżarkę – zaśmiał się sołtys. – Cny rycerzu, proszę za mną, zaprowadzę cię do sypialni.

Lathaniel skinął głową. Ruszyli wąskim korytarzem, po czym wspięli się po skrzypiących schodach, przeganiając śpiącego na ich środku burego futrzaka. Sołtys wybrał pokój za ładnymi dębowymi drzwiami. Była to niewielka, ale przytulna izba. Zwłaszcza spodobał mu się wiszący nad łóżkiem gobelin przedstawiający leśny staw. Znajdowała się tam również duża popękana szafa tuż obok okna, z którego rozciągał się piękny widok na widniejącą w oddali kapliczkę.

– Po obiedzie doniosę pierzyny z prawdziwego gęsiego pierza. Żona sama robiła przez całe dwie zimy! Pod tym to się tak mości rycerz wyśpi, że będzie jak nowo narodzony. Czegoś jeszcze potrzeba, panie?

– Macie jakieś zioła na to, żeby nabrać więcej sił? Wracam prosto z bitwy, a tam durczycy mocno dali mi się we znaki – dotknął swojej klatki piersiowej. – Miejscowi zielarze czasem znają się na rzeczy.

– A jakże, mamy takiego jednego, co się nieco zna na zdrowotnych chwastach i takich innych. Polecę postać po niego, aby przyniósł coś, co pomoże. Zawołam panie, jak obiad będzie gotowy.

– Miejsca dla moich ludzi przy stole nie róbcie, sołtysie. Oni zjedzą na dworze, ale jakieś pokoje to im przygotujcie, żeby nie spali wśród osłów. W końcu coś tam pod tym czerepem u nich świta – uśmiechnął się do gospodarza, a ten odwzajemnił gest i zapewnił, że wszystko załatwi.

Gdy sołtys wyszedł, Lathaniel położył się na łóżku i pogrążył we wspomnieniach z niedawnej bitwy. Zgiełk stali, okrzyki umierających – wtedy to wszystko wydawało się tłem wobec woli zwycięstwa i przetrwania. Przymknął oczy i zapadł w krótką drzemkę, z której wyrwało go pukanie do drzwi.

– Obiad gotowy, szlachetny panie.

– Już idę.

Gdy minutę później wszedł do jadalni, ujrzał tam jeszcze jedną osobę. Była to ta sama młoda niewiasta, która zbierała biały bez po drugiej stronie leśnego stawu. Z bliska mógł w pełni docenić jej naturalne piękno – uroczą garstkę piegów otaczających drobny nosek, głębokie piwne oczy i płasające kosmyki w barwie kłosów zboża. Ubrana była w prostą niebieską bluzkę i białą spódnicę, lekko poobdzieraną na krańcach, a na szyi nosiła wisiorek z, o dziwo, symbolem Corderiasa.

– To moja córka, Lilka – powiedział sołtys, a dziewczyna dygnęła uprzejmie. – Mam jeszcze syna, ale wyjechał do miasta, bo we wsi nie mógł się odnaleźć. Skaranie boskie z nim było. No ale jeszcze kogoś muszę ci przedstawić, szlachetny panie! Oto nasza pieczeń! – cały uśmiechnięty wskazał mięsiwo dumnie prezentujące się pośrodku stołu. Były tam też półmiski kaszy, tarte buraki, sałatka z marchwi i brokuł, garnek pełen zalewajki, świeżo wypieczony bochen chleba, kozi ser oblanym miodem oraz nieco twarożku posypanego koperkiem. Pomiędzy potrawami stały dwa dzbany, jeden pełen malinowego kompotu, a drugi wina jagodowego.

Eryk i Lathaniel zasiedli przy stole, a kobiety zaczęły im usługiwać, nalewając każdemu z nich miskę gorącej zupy. Ciepły wiejski posiłek po dwóch cyklach w siodle smakował naprawdę wybornie. Aż ciężko było mu się powstrzymać od nietaktownego spałaszowania całości. Choć jednak próbował zachować umiarkowanie, jego apetyt nie uszedł bystremu oku gospodyni, która na ten widok przyozdobiła swoje lico miłym uśmiechem.

– Różne wieści przychodzą z wojny – zagaił sołtys, kończąc zalewajkę. – Podzielisz się panie opowieścią lub dwiema? Córko, polej szlachetnemu rycerzowi wina i nałóż pieczeni – zwrócił się do Lilii, a ta zabrała się do wykonania polecenia.

– Jakiś miesiąc temu miała miejsce wielka bitwa – zaczął Lathaniel, zatrzymując na chwilę wzrok na uroczej złocistej czuprynie sołtysówny. – Wojska durskie wdarły się przez Wielką Przełęcz i przełamały fortyfikacje górskiego fortu nadzwyczaj wprawnie. Szczęściem trzem żołnierzom udało się umknąć oblężeniu i powiadomić chorągwie mojego seniora, księcia Lawrence’a von Djalde, który natychmiast zmobilizował wojska i posłał po posiłki – upił łyk wina i złapał bok stołu, czując, jak wraca ekscytacja tamtymi wydarzeniami. – Spotkałiśmy się z nim pod samą Shalmarą. Mieli nad nami przewagę liczebną, ale musieliśmy wydać im tam bitwę. Nie było możliwości odwrotu!

– Pod Przekłętą Górą? – softys wciągnął powietrze, a rycerz pokiwał głową. – Przecież to zły omen! Siedliszcze sił nieczystych i mrocznych duchów!

– Pierwsi zaszarżowali durczycy, a echo od ich pieśni ku czci Cadosa zatrzęsło ziemią! – czuł, jak jego pamięć przywołuje kolejne obrazy wrogiej konnicy w pełnym galopie. – Już w pierwszych minutach starcia utraciliśmy masę piechoty! Jednak tedy nasi mistrzowie magii skąpali ich w płomieniach i piorunach, przełamując moce ochronne, którymi okalali ich wrody arkanieści! Rozpoczęliśmy kontratak, uderzając rycerstwem mającym modły do Corderiasa na ustach. Byłem tam również i ja! Rąbałem, siekałem, aż krew bryzgała po hełmach. Wbiliśmy się klinem w głąb ich wojsk, lecz durczycy to nie wrogowie, którzy łatwo się poddają. Na nasze uderzenie odpowiedziała wroga chorągiew rodu deNymvadoor, ich elita okazała się niezrównana w boju. Widziałem, jak najznamienitsi rycerze padają we krwi na stosy martwych ciał. Jednakże musieliśmy ustać, my duma Mardawii! – wziął parę oddechów i podał kubek Lili do napełnienia trunkiem. – Naprzeciwko siebie ujrzałem wojmistrza od deNymvadoorów, którego dobrze znałem, samego Darsfina deLyrnagaar. Otoczony był skąpanymi w posoce topornikami i bezwzględnie kontynuował swój pochód śmierci. Ja i czterej moi towarzysze, z okrzykami ku czci Corderiasa, wyszliśmy im naprzeciw.

– Bogowie, chrońcie! – uniósł się softys. – Toż to rzeźnicy spod Saruny! Mówiono, że w dziesięciu usiekli ponad dwie setki!

– Opowieści nie kłamią – Lathaniel przegryzł kawałek pieczeni i popił winem. – Zalali nas gradem zajadliwych ciosów, a wojmistrz wojował, jak gdyby sam Cados osobiście dodawał mu sił. Mój towarzysz, sir Dariusz von Farate, odważnie stanął naprzeciwko Darsfina deLyrnagaar i rozpoczęło się heroiczne starcie! Odstąpiono od nich z szacunku dla ich wielkiego majestatu. Toczyłem tedy bój z dwoma topornikami, lecz kątem oka obserwowałem pojedynek tytanów. Sir Dariusz zadał mu pierwszy cios swoim buzdyganem, robiąc pokaźne wgniecenie w pancerzu wojmistrza. Jednak przyplącił to głęboką raną ręki, która zmusiła go do wypuszczenia tarczy. Siła Darsfina w końcu przeważyła, lecz nie zabił mego towarzysza, chcąc wziąć go na jeńca wojennego. Jednak tedy jakiś prostak wtrącił się do ich pojedynku i zadał sir Dariuszowi cios w plecy.

– Ścierwo bez honoru! – oburzył się softys, krztusząc się mięsiwem.

– Tak też uznał wojmistrz Darsfin, gdyż wpadł w wielki gniew i usiekł własnego wojaka, który zabił sir Dariusza. Potem napadł na nas w bitewnym szale i swym korbaczem trafił mnie prosto w pierś. Dalej niewiele pamiętam, ale bitwa trwała jeszcze sporo czasu. Ocknąłem się na łożu, tuż przy medyku, który leczył moje rany.

– A jak bitwa się skończyła? Wygraliśmy? – dopytywał się z przejęciem softys. – Pokonaliśmy durczyków?

– Nierozstrzygnięta – Lathaniel pokręcił głową. – Obie strony doznały pokaźnych strat. Jedynie co, to zatrzymaliśmy pochód durczyków i zmusiliśmy ich do odwrotu, ale zwycięstwem tego nazwać nie mogę.

– Śmierć zebrała srogie żniwo – rzucił Eryk, zajadając się burakami. – Cieszyć to się cieszą jedynie siły nieczyste z Shalmary. Żle było walczyć u stóp Przekłętej Góry... - westchnął i dał żonie znać, żeby nałożyła mu więcej mięsa.

- Kochanie, musisz mieć miejsce na jabłecznik – zagaiła Milena, a jej mąż z uśmiechem pokiwał głową. – Zaraz podamy. Córeczko, idź no przynieś ciasto.

– Dobrze, mamie – głos Lilii był przejmująco kobiecy. Lathaniel nie mógł się powstrzymać, by nie odprowadzić jej wzrokiem. – Już idę.

* * *

Po obiedzie Lathaniel udał się do swoich ludzi, aby sprawdzić czy oporzędzili konia i uzupełnili zapasy. Następnie zrobił sobie mały spacer po wiosce, rozkoszując się łagodnymi promieniami słońca docierającymi zza białych obłoków. Na jego widok mieszkańcy wioski od razu zmieniali swoje zachowanie – stawali się cichsi, bardziej spięci i zwykle przerywali swoje codzienne prace.

Wracając, przypomniał sobie, że miał spytać sołtysa o kaplicę na wzgórzu. Ujrzał go rąbiącego drwa przy drewnutni obok stajni. Koszula Eryka była przewieszona przez belkę, a jego nagi tors pokrywał pot. Dostrzegłszy rycerza, odłożył siekiere i sięgnął po dzban pełen świeżego, krowiego mleka.

– Chcesz nieco, panie? – wysapał, wyciągając gliniane naczynie w jego stronę. – Córka dopiero co przyniosła od sąsiada, jeszcze ciepłe.

– Pij, sołtysie, mnie nie trzeba.

– Mmm, jakie tłusciutkie – przetarł zroszone mlekiem wąsy, chociaż strużka i tak zdołała popłynąć po jego brodzie. – Widać tłustej trawy się krówka najadła – zażartował i przysiadł na pieńku.

– Powiedz mi, sołtysie, co to za kaplica? Tam, na wzgórzu – machnął ręką w stronę krętej drogi. – Komu poświęcona?

– Corderiasowi, panie – odezwał się brodac. – Zbudował ją tutejszy bohater, sir Norbert z Przygórza. Wielce się wysławił na jakiejś bitwie, za co sam książę von Arlyn nadał mu tytuł rycerski! Tu się wychował, więc chciał coś po sobie zostawić przed pójściem na pańskie zamczysko. Kaplicę wybudował – sołtys sięgnął po wiszący nieopodal kawałek szmaty i przetarł nią czoło. – Drogę też opłacił. Dlatego taka porządna jest. Szkoda, że sir Norbert pochorował się na książęcym zamczysku i zmarł niewiele później. Mówi się, że to dlatego, że za młodu przy Shalmarze był. Zła to góra.

Lathaniel machnął lekceważąco ręką, wkładając te wątpliwości między bajki. Naszło go wspomnienie olbrzymiej góry, pełnej szerniałego kamienia, stromych klifów i zdradliwych ścieżek. Chmury wydawały się ją omijać, a ośnieżony szczyt był poznaczony wielkimi, powykrzywianymi skałami.

– Jeśli chcesz iść się pomodlić, panie, to lepiej teraz. Padać będzie – popatrzył w niebo, mrużąc jedno oko.

– Skąd to wiesz, sołtysie? – zadziwił się, gdyż samemu nie dostrzegł deszczowych chmur. – Nie zapowiada się.

– A łupie mnie nieco w kościach i jakoś tak mam przecucie – wstał i zaczął rzucać porąbane kawałki do drewnutni. – Żona mówi, że dar mam, jak jakiś wieszcz, bo z pogodą rzadko się myślę. Będzie padać, czuję to jak nic.

– Lepiej znacie tutejsze klimaty, sołtysie, więc pewnie macie rację. W takim razie pośpieszę się, wielu moich towarzyszy potrzebuje mej modlitwy – rycerz westchnął, wspominając twarze poległych. – Dziękuję, sołtysie.

– Nie ma za co, panie – machnął ręką, przerywając na chwilę pracę. – Zostajesz jeszcze na jeden dzień czy jutro wyjeżdżasz?

– Zależy od pogody – rzucił na odchodne rycerz, a sołtys pokiwał głową.

Podążając krętą ścieżką, wdychał leśne powietrze docierające do niego wraz z podmuchami wiatru. Cisza wciąż była dla niego obca, nawet po miesiącu od bitwy. Czasami aż wydawało mu się, że gdzieś tam na granicy słyszalności dochodzą go jęki rannych i stłumione okrzyki zwycięstwa. Walka w cieniu Shalmary okazała się zupełnie czymś innym niż bitwa pod Hyn, gdzie pogromili durczyków.

Otoczona polaną koniczyn kamienna kaplica stawiała się coraz wyraźniejsza. Miała półkolistę sklepienie, na którego szczycie widniał żelazny symbol Corderiasa. Do środka prowadziły uchylone drewniane wrota, które niezbyt dobrze radziły sobie z próbą czasu. Surowe wnętrze ozdobione było białym bzem, a przed skromną płaskorzeźbą klęczała złotowłosa niewiasta. Lathaniel zapatrzył się nieco na gorliwość, z jaką szeptała modlitwy ku czci boga rycerzy, lecz po chwili przyklęknął obok niej i otworzył serce przed swym panem. Ujmował się za każdym z poległych, powtarzając w duchu ich imiona i czyny. Poczuł, że przepełnia go to niezwykle uczucie wiary, a jego skołatane myśli splatają się w harmonię. Odzyskiwał to, co zostało zburzone przez wszechogarniający skowyt śmierci. W tym momencie biały bez stał się dla niego symbolem odrodzenia. Wziął jedną gałązkę i wpiął sobie w ubranie.

Lilia skończyła modlitwę i wstała od ołtarza, lecz on jeszcze przez długi czas nie ustawał w wołaniach do swego boga. Gdy wreszcie skończył i wyszedł z kaplicy, dostrzegł że córka sołtysa przycupnęła nieopodal, mierzwiąc rękoma koniczyny, zapewne w poszukiwaniu tej czterolistnej. Lathaniel podszedł do niej, a ta powstała i obdarzyła go uroczym uśmiechem, splatając ręce z tyłu.

– Muszę ci podziękować za kwiat białego bzu, niewiasto – skinął jej lekko głową. – Poprowadził mnie do tej kaplicy, aby mógł w świętym miejscu zmówić modlitwy do Corderiasa.

– Skoro biały bez spodobał się stłudze naszego boga, to wierzę, że i samemu Corderiasowi podarowałam skromną radość, przyozdabiając jego kaplicę – spojrzała w jego ciemne oczy, a Lathaniel poczuł dziwny ucisk w żołądku. Z trudem odwrócił wzrok w stronę wioski, na którą padł cień gęstych, ciemnych chmur nadchodzących od strony masywu górskiego.

– Pozwolisz, Lilio, że dotrzymam ci towarzystwa w drodze powrotnej?

– W modlitwach obiecałam Corderiasowi, że nie powrócę, nim nie znajdę czterolistnej koniczyny! – zaśmiała się dziewczęco. – Mój honor jest na szali! Nie mogę jeszcze wracać!

– Twój ojciec zapowiadał deszcz, nie pozwolę więc panience zmoknąć – przeleciał wzrokiem pole koniczyn. – Pozwól, że użyję ci mej pomocy w tych poszukiwaniach.

– To byłby zaszczyt, mój panie – uraczyła go kolejnym uśmiechem i od razu przykucnęła, aby kontynuować poszukiwania. – Musimy się pośpieszyć, jeśli pragniemy ujść ulewie. Czuję, że lunie ściana wody!

Lathaniel zmierzwił rękoma dziesiątki koniczyn i przymrużył oczy, aby wyostrzyć spojrzenie. Przebierając pomiędzy roślinkami, nie potrafił powstrzymać się przed ukradkowymi spojrzeniami na urokliwe lico dziewczyny. Powietrze stało się zauważalnie wilgotniejsze, a cień deszczowych chmur przykrył już całą kaplicę.

– Mam cię! – zaszczębiotała Lilia, wyciągając do góry czterolistną koniczynę. Szybciutko pomknęła do kaplicy aby odłożyć swój dar na ołtarzu dla Corderiasa, i nim się obejrzała, już stała tuż przed nim. – Zaczyna kropić, musimy się pośpieszyć mój panie!

Lathaniel spojrział w niebo i z przyjemnością przyjął pierwsze deszczowe krople, które zrosiły jego twarz. Uśmiechnął się kątem ust i ruszył ku wiosce. Po raz pierwszy od czasów bitwy czuł ulgę.

– Często modlisz się do boga rycerzy? – zapytał z ciekawością jej gorliwością w kapliczce.

– To mój pan. Modliłam się do niego o zwycięstwo dla Mardawii. Wierzę, że mój głos, nawet pomiędzy milionami innych, jest dla naszego panna cenny.

– Większość kobiet po prostu modli się o zakończenie wojny – stwierdził zaskoczony, a w odpowiedzi otrzymał jedynie tajemniczy uśmiech.

– Modliłam się też za mojego ukochanego.

– Walczy on na froncie?

– Tak – westchnęła, spoglądając w stronę gór. – Jest odważnym rycerzem, którego nigdy jeszcze nie spotkałam, ale którego wiele razy widziałam w snach objawionych przez Corderiasa. Mój ukochany będzie walczyć w następnej bitwie z durczykami. Modlę się z całego serca, aby wykazał się bohaterstwem i odwagą – jej twarz ozdobiła się rozmarzonym wyrazem. – I aby przybył do mnie, gdy wojna dobiegnie końca.

– Rycerz nigdy nie poślubi chłopki – oburzył się Lathaniel nieco ostrzejszym tonem, niż początkowo zamierzał. – Jego szlachectwo i honor mu na to nie pozwolą.

– Jeżeli wolą Corderiasa jest, abyśmy się miłowali, wtedy wierzę, że zostanie moim mężem, nie bacząc na żadne przeciwności.

Lathaniel przemilczał jej słowa. Były to marzenia wiejskiej dziewczyny, która została zwiedziona sennymi marami, przypisując im boskie autorstwo. Nie było sensu kłopotać jej wyjaśnieniami. Rzeczywistość zweryfikuje jej fantazje.

* * *

Nasilająca się wieczorna czerń przepętniona była leniwie opadającymi kroplami deszczu. Sir Lathaniel popijał ziołowe wywary, kołysząc się na bujanym fotelu na werandzie. Wilgotne powietrze było przyjemnie orzeźwiający, a wiatr łagodny.

– To gdzie szlachetnego pana wiedzie droga? – odezwał się siedzący nieopodal sołtys, popijając pienne piwo. – Do miasta stołecznego?

– Zmierzam na ziemie mego seniora – westchnął rycerz i wzrokiem poszukał talerza z jabłecznikiem. Znalazłszy go na parapecie, ze smutkiem stwierdził, że zostały tam jedynie okruszyny. – Czekają mnie zaręczyny z niewiastą z rodu książęcego.

– A no to gratulacje! – Eryk uniósł drewniany kufel w formie toastu. – Pewnie posag będzie pokaźny, a i szczyt wielki! – spojrział w stronę odległych gór. – A po zaręczynach będziesz wracał na front, panie?

– Rany będą mi jeszcze długo doskwierać, a potem pewnie będzie ślub i wesele – pokręcił głową Lathaniel. – Jednak wierzę, że wojna dobrze się potoczy i bez mego udziału. Durczykom

brakuje jedności od czasu tragicznej śmierci chana Tjaldora deMyrdetaar. Teraz próbowali zrywu, ale odparliśmy ich...

Rycerz zawiesił głos i nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Sołtys skupił się swoim trunku, a Lathaniel zebrał okruszki z jabłecznika i spałaszował je. Eryk ujrawszy to, wszedł na chwilę do domostwa i wrócił z chlebem i smalcem.

– Często się, panie – podsunął mu jadło. Rycerz początkowo się zawahał, ale ostatecznie sięgnął po jedną kromkę. – Ręczę głową, że będzie smakowało!

Lathaniel wziął parę gryzów. Nie było aż tak dobre, jak zachwalał sołtys, ale zachował to dla siebie, aby nie wnosić o dekapitację gospodarza.

– Twoja córka cechuje się wielką gorliwością w wierze w Corderiasa. Widziałem, że znamienicie przyzdobiła kaplicę na wzgórzu.

– Zaiste – rzekł sołtys, krzywiąc się nieco. – Ma takie swoje rytuały, że tak powiem.

– Rytuały?

– No tak. Zimą soplami przyzdabia. Wiosną właśnie białym bzem, jak jest, a jak nie ma, to mniskami lekarskimi i niezapominajkami. Latem za to kłosami zboża, jesienią rudymi liśćmi i szyszkami. Bardzo się tym wszystkim przejmuje – pokręcił głową. – Składa czasami też drobne ślubowania i je wypełnia – spojrzał niepewnie na Lathaniela. – Mam nadzieję, że nie uraziła szlachetnego pana.

– Nie obawiaj się sołtysie, twoja córka to powód do dumy, a nie niepokoju. Widać, że ma czyste serce. Dobrze ją wychowałeś – spotkali się wzrokiem. Pomimo jego słów, Eryk nie wydawał się zbyt przekonany. Ponownie pogrążyli się w ciszy. Trwało to do czasu, aż sołtys skończył pić swoje piwo. Wtedy przetaił rękawem usta i spytał:

– Długo zostaniesz u nas, panie?

– Dzień lub dwa. Muszę zmówić kolejne modlitwy za poległych.

– Rozumiem, panie – rzekł, wstając. – Ja muszę jeszcze żonie pomóc i z córką parę słów zamienić.

Lathaniel jedynie skinął głową. Po chwili został sam na werandzie. Zaczął dumać o tym, który go pokonał, o przerażającej sile wojmistrza Darsfina deLyrnagaar. Jak niewiele brakowało, aby zginął od tamtego ciosu. Wcześniej nie bał się śmierci, ale gdy stanął z nią oko w oko, przestał się oszukiwać. Jednakże odważnym jest ten, który czyni to, co słuszne, przełamując strach – dopiero niedawno naprawdę zrozumiał te słowa.

Deszcz powoli przeistaczał się w delikatną mżawkę.

* * *

Promienie słoneczne spowijały dojrzewające kłosa zroszone porannym dżdem. Słomiane dachy przyjęły głęboką barwę, podobnie zresztą jak drewniane ściany domostw. Lathaniel spacerował, omijając bardziej grząskie ścieżki i przeganiając sprzed siebie spanikowane kurczaki, za którymi uganiała się szczerbata dziewczynka. Na pobliskiej łące starszy jegomość stróżował nad pasącymi się w spokoju krowami. Idąc dalej, dostrzegł, że dwóch mężczyzn siłuje się z małym wozem

zaprzęgnięty w dwa osiołki, gdyż jego koło ugrzęzło w błocie. Nieopodal jakiś chłop pouczał syna, jak przycinać gęsiom skrzydła, tak aby ich zbyt nie okaleczyć, ale powstrzymać przed odlotem.

W swoim życiu rzadko miał czas, aby poobserwować wiejską codzienność. Zazwyczaj był szkolony przez nauczycieli albo wraz z ojcem brał udział w sprawach politycznych i gospodarczych baronii. Bądź co bądź był drugim synem.

Gdy dotarł w okolicę brukowanego placu, będącego centrum wioski, dostrzegł córkę sołtysa otoczoną gromadką malców, które kwiliły cienkimi głosikami o kolejną „opowieść”. Lilia wykręcała się obiecując, że opowie ją następnego dnia. Jednakże dostrzegłszy, że Lathaniel oparł się ramieniem o pobliskie domostwo, zgodziła się na jeszcze jedną historię.

– Dawno, dawno temu – uśmiechnęła się, pochylając się nad rudą dziewczynką, którą zaraz pogłaskała po głowie. – Dzielny rycerz sir Nicolas udał się na wielką wyprawę. Na poszukiwanie rusałek! A rusałki to takie malutkie ludziki, które mają motyle skrzydełka i wielką dobroć w sercu. Zwykle trudnią się zbieraniem leśnych owoców, ale nie stronią też od czarów! – przeszła się wśród dzieci w tę i z powrotem. – Synek dzielnego sir Nicolasa był bardzo chory, a zawsze marzył, aby móc zobaczyć te wspaniałe stworzonka. Więc rycerz zaczął podróżować po zamczyskach książęcych i rezydencjach barońskich, odwiedzając zamieszkujących tam czarodziejów, aby szukać u nich rady. Jednakże gdziekolwiek się udał, tam spotykały go jedynie pobłażliwe spojrzenia lub zbywające słowa – Lilia przystanęła na chwilę i wytargała za ucho grubszego chłopaka, który uprzykrzał się siedzącej przy nim dziewczynce. – Jego rycerska determinacja nie pozwalała mu zaprzestać poszukiwań, gdyż złożył ślubowanie w wielkiej katedrze poświęconej Corderiasowi, tej, która przyozdabia samą Anderę! Wtedy, po wielu wędrowkach, sir Nicolas przybył do znajdującej się na skraju wielkiego dębowego lasu wioski, zwanej Kniejowice. Pośrodku wsi, tuż przy studni, dostrzegł słabowitą starowinkę, która z niemałym trudem starała się wyciągnąć wiadro wody. Odważny rycerz widząc kobietę w potrzebie, dopomógł raz dwa – Lilia usiadła na skraju studni i zaczęła przebierać nogami. – Starowinka mocno niedowidziała, więc nie dostrzegła, że tuż przed nią stoi wielki pan. Z wdzięczności zaprosiła go do siebie na ciasto. Na jabłecznik – rzuciła piękny uśmiech stojącemu na uboczu Lathanielowi. – Rycerz nie uniósł się gniewem, lecz przyjął babczyne zaproszenie. Posilili się pysznym ciastem do ostatnich okruszków, a potem spędzili spokojny wieczór przy gorącej melisie i rumianku. Starowinka snuła wiele opowieści: o duchach lasu, o majestatycznych gryfach, o groźnych diabłach drzewnych oraz o świetlistych żuczkach. A opowiadała jak najwspanialszy bajarz, że aż rycerz pogrążył się w łagodnym świetle fantazji. Wtedy jednak przypomniał sobie o synu i czym prędzej zapytał babinę o rusałki. Jak ta się rozgadała! Prawiła o ich powietrznych tańcach, uroczych piskliwych głosikach i o tym, jakie to z nich wstydziochy. Zapytał się tedy, gdzie takie rusałki znaleźć, a ona raz dwa powiedziała, że w Bukowej Przełęczy, i jeszcze dodała, jak je udobruchać! Tam, gdzie zawiedli nawet wielcy mistrzowie magii i uczeni w pismach, tam babinka podołała! Dlatego wszyscy słuchajcie swoich babć, bo one mają wiele mądrości w sobie.

Dzieci zrobiły wielkie oczy, wpatrując się w Lilię z niezwykłym przejęciem. Sołtysówna zeskoczyła ze studni i przeszła pomiędzy zafascynowanymi opowieścią urwisami.

– A jak to się skończyło? – zapytała drobna dziewczynka o brązowej czuprynce. – Znalazł rusałki?

– To już opowieść na następny dzień! – zaśmiała się Lilia i zaczęła rozganiać latorośl do domów, tym razem nie dając się już ubłagać, żeby dokończyć historię. Po chwili placyk nieco opustoszał. Sołtysówna położyła ręce na biodrach i westchnęła, patrząc na ostatniego łobuziaka, który wcześniej parę razy szarpał ją za sukienkę.

– A chociaż mnie zdradzi panienka finał tej historii? – zapytał Lathaniel, podchodząc do niej. Dziewczyna obróciła się w jego stronę i szeroko otworzyła oczy, robiąc udawanie zdumioną minę.

– Oczywiście, mój panie – dygnęła leciutko, po czym zachichotała. – Przyjdź jutro!

* * *

Martwi uścielali zimny grunt. Wojownicy ścierali się w jednostajnej symfonii stali, zaburzanej jedynie krzykami umierających i błaganiami o litość. Spowita w mroku góra rzucała rozległy cień rozpostarty na całe pole bitwy. Krew zaczęła sięgać kostek. Nagle rozległ się straszliwy ryk i niebo poczerniało jeszcze bardziej. Uniósł głowę i ujrzał czarnego smoka mknącego wśród wichrów w stronę Shalmary. Jego potężny głos zatrzęsął chmurami i te w przestrachu uwolniły trzymane przez siebie krople. Deszcz przybierał na sile, coraz bardziej i bardziej. Nagle dostrzegł przed sobą Darsfina. Oczy wojmistrza lśniły czerwienią, a gdy zmierzał w jego stronę, wszyscy dookoła padali martwi. Ich spojrzenia się spotkały. Wtem oddzieliła ich ściana deszczu. Lathaniel stracił serce do walki. Padł na kolana i zanurzył ręce w rozrzedzonej wodą krwi. Pole bitwy zaczęło być obmywane z czerwieni, która spływała wokół jego rąk. Woda wreszcie ustąpiła gruntowi i rycerz dostrzegł, że przetęcz jest tak naprawdę wielką polaną koniczyn. Wziął jedną z nich do ręki. Była czterolistna.

„Nie zapomniałem o tobie – rozległ się głos Darsfina. – Nie zapomniałem...”

Uniósł wzrok i ujrzał jego lśniące czerwienią ślepie. Nie był w stanie się ruszyć. Korbacz trafił go prosto w klatkę piersiową i utkwiał w niej. Wojmistrz wyszarpnął swą broń, a Lathaniel ujrzał, jak buchają z niego krew i wnętrzności. Nagle brzuch Darsfina przeszyło zdradzieckie ostrze. Padł na kolana i ramionami otoczył Lathaniela.

„Jesteśmy tacy sami”.

Rycerz zbudził się cały zlany potem. Raptownie zerwał się z łóżka, przez co poczuł straszliwy ból w żebrach. Usiadł i zacisnął zęby. Po chwili wstał, tym razem powoli i podszedł do okna, aby wpuścić nieco świeżego powietrza.

Wiatr wdarł się do izby, mierzwiąc jego hebanowe włosy. Oddychał ciężko, spoglądając w stronę kaplicy wzniesionej na wzgórzu. W końcu krew zwolniła w jego żyłach. Postanowił obmyć się w balii, lecz wtedy ujrzał rozmazaną postać idącą po krętej drodze w stronę wioski. Spróbował wyteńczyć wzrok, ale niewiele to pomogło. Dopiero po chwili zorientował się, że jest to Lilia. Zaczął wpatrywać się w nią niczym urzeczony. Jej włosy lśniły jak czyste złoto, a jej drobne gesty były dla niego tańcem, do którego pragnął dołączyć. W końcu zniknęła mu z oczu, a on usiadł i skrył twarz w dłoniach.

Przytoczyła go setka myśli.

* * *

Lathaniel wyszedł z kaplicy po dwóch godzinach modlitw. Spojrzeniem przeleciał po polanie targanych wiatrem koniczyn i ruszył w stronę wioski. Szedł, mając w sercu niezłomną determinację, pewność, która wykraczała poza wszystko to, czego dotychczas w życiu pragnął. Tym razem miał pełen rynsztunek: długi, półtoraręczny miecz przy pasie, stalową zbroję płytkową oraz inkrustowany rodowym symbolem hełm, w który wpiął samotną łodygę białego bzu.

Jego ludzie czekali na niego z osiodłanym rumakiem i uzupełnionymi zapasami. Sołtys wraz z żoną pożegnali się z nimi, życząc im spokojnej drogi, a Lathaniel w odpowiedzi jedynie skinął głową. Po drodze zahaczyli o brukowany plac. Ujrzał ją przy studni, wśród gromady rozbrykanych dzieci. Ruszył w jej stronę, a wszystkie podrostki rozbiegły się, tworząc mu drogę ku Lilii. Jej twarz była na wpół zaskoczona, na wpół smutna.

– Wyjeżdżasz mój panie?

– Zaiste – podszedł do niej bliżej i klęknął przed nią na jedno kolano. – Otrzymałem wiele ran w bitwie w Cieniu Shalmary, lecz ślubuję powrócić na front i walczyć w imię Mardawii oraz Lilii z Przygórza. Ślubuję ci mą miłość, której dowiodę wedle woli Corderiasa! Jeśli powrócę w chwale, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Jej lico zajaśniało wzruszeniem, a oczy lekko się zaszklily. Złożyła ręce na piersiach i wyszeptała wilgotnym głosem:

– Zachowam w sercu historię. Ona będzie symbolem mojej wierności ku tobie, mój luby. Będę modliła się o ciebie każdego dnia – podeszła bliżej, a Lathaniel odpiął miecz i wyciągnął w jej stronę rękę. Obdarzyła delikatnym pocałunkiem głowicę, jego zaś zafawionym uśmiechem.

Rycerz skłonił się i omiótł wzrokiem zszokowany tłum. Dosiadł wierzchowca i odjechał. Na skraju wzroku przystanął, aby wzniesić swój oręż i jeszcze raz spojrzeć na Przygórze.

– Panie, ale twoje zaręczyny...

– Milcz.

– Toż to chłopka, nie przystoi...

– Kimże jesteś, aby stawać między mną, a Lilią skoro sam Corderias przypieczętował naszą miłość. Będę jej mężem albo polegnę w chwale.

Dylan przeniósł wzrok w stronę gór i z westchnieniem pokręcił głową.

– Znowu wojna...